

W teatrze dojdzie do wojny płci

Z Andrzejem Sadowskim, reżyserem, którego premierowy spektakl „Oleanna” zobaczymy w piątek w Teatrze Ludowym, rozmawia Urszula Wolak

Dwie dekady temu „Oleanna”, sztuka Davida Mameta, została określona przez krytyków mianem kontrowersyjnej. Czy dziś jej siła jest równie mocna?

Myślę, że tak. W Polsce o molestowaniu seksualnym, z jakim mamy do czynienia w „Oleannie”, zaczęto mówić nieco później niż w Stanach Zjednoczonych. Poza tym, w amerykańskich i angielskich realizacjach dramatu Mameta położono silny nacisk na przekaz antyfeministyczny. Ja z tego zrezygnowałem. Bardziej interesowało mnie to, co dzieje się między dwójgim ludzi: studentką Carol i jej profesorem.

A co się dzieje?

Carol traktuje słowa profesora dwuznacznie i tak ściga na niego i na siebie nieszczęście, którego podstawą jest zwyczajne nieporozumienie.

Dlatego właśnie sięgnął Pan po „Oleannę”?



Karolina Stefańska i Tomasz Schimscheiner wystąpią na Scenie pod Ratuszem Teatru Ludowego

Moja miłość do Mameta trwa już dość długo. To znakomity dramaturg. Prezentuje on taki rodzaj dramaturgii, który otwiera szerokie pole dla reżysera. Myślę, że dobra reżyseria jego dramatu polega na tym, żeby uczynić ją niewidzialną. Bowiem sztuki Mameta są napisane przede wszystkim dla aktorów i to jest chyba główny powód, dla którego sięgnąłem właśnie po ten tekst.

Czy pracując nad „Oleanną” odmierzał Pan czas swoim aktorom, Karolinie Stefańskiej i Tomaszowi Schimscheinerowi, metronomem, tak jak robił to Mamet? (śmiech) Nie... To technika zdecydowanie filmowa. Pozwalał sobie na znacznie większą swobodę. Myślę, że odchodząc nieco od sztywnych reguł narzucanych przez autora, nie zgubiliśmy „muzyczności” jego dialogów.

Zostańmy w takim razie przy filmie. Widział Pan ekranizację „Oleanny”? Oczywiście. Byłem jednak zdziwiony, że grający w nim aktorzy nie wnoszą do obrazu nic poza tekstem Mameta. Zrozumiałem też, że nie chcę pójść w tę stronę interpretacji.

Jak zatem Pan zinterpretował „Oleannę”?

Wrzuciłem z aktorami postanowiliśmy nałożyć na tekst polską

perspektywę. Spotykaliśmy się ze studentami, wykładowcami i poruszaliśmy wiele istotnych tematów, m.in. problem molestowania seksualnego. Tak zdobywaliśmy potrzebną wiedzę, którą później wykorzystaliśmy na scenie.

I oni mówili Panu o tym, że problem molestowania istnieje?

Sytuacja opisana w dramacie Mameta jest niczym w porównaniu z historiami, które słyszałem.

Będziemy świadkami wojny płci?

To nieuniknione! Dochodzi do niej zawsze, jeśli postawi się naprzeciw siebie kobietę i mężczyznę.

Będzie więc zabawnie czy tragicznie?

Obserwując dotychczasowy odbiór sztuki, myślę, że nie zabraknie obu tych elementów. W spektaklach przedpremierowych widzowie reagowali różnie. Pojawiały się salwy śmiechu i momenty wzruszeń. To zasługa tak zawiązanej intrygi. Sam określiam ten spektakl mianem thrillera, w którym mamy do czynienia ze stopniowaniem napięcia – a im dalej w las... tym bardziej akcja staje się interesująca.

Spóźnione krzesło

**WYZNANIA SZCZEREJGO
ENTUZJASTY TEATRU**
PAWEŁ GŁOWACKI

Na początku – ani jednego całego słowa. Ostrożnie mówiąc: nawet cienia całego zdania. Jeśli cudem pada ze sceny nieposzatkowany przymiotnik, czasownik nieporznięty, niepołamany rzeczownik, jakiś nie kikut po prostu – z punktu zdycha w jazgocie semantycznych, gramatycznych, stylistycznych strzępów, kwiczających bez cienia planu, na ślepo, nieprzewidywalnie, strzępów, z których każdy panicznie ciągnie w swoją stronę. Prolog wyreżyserowanej przez Andrzeja Sadowskiego „Oleanny” Davida Mameta, pierwsze pięć, dziesięć, piętnaście minut, to Wieża Babel – ale jednego języka. Katujący ucho portret narzecza, które samo siebie nie rozumie.

I to jest dobre. Teatr nie-pouczający, nienaprawiający świata, niementorski, teatr niedźgający widza wysokopienną tezą – to zawsze jest ulga. Przez pierwszy kwadrans, niech będzie – przez całą pierwszą część Sadowski zgrabnie ucieleśnia bełkot. Śmiesznie jest, groteskowo. W efekcie – przerażająco. Sadowski podaje do słuchania, oglądania codzienny nasz gulgot w akcji.

John (Tomasz Schimschneider), profesor chyba psychologii, a konto wymarzonego awansu uniwersyteckiego dom kupuje. Więc –, urwanie głowy. Telefon szaleje, żona wyje w słuchawce, spóźnienie rośnie, agent nieruchomości czeka, John wciąż w uczelnianym gabinecie. Nerwy szczytują, czas ucieka, papiery leżą z roztrzęsionych łap, a na dokładkę – ona wchodzi! Boże,

zlituj się! Ona! Studentka Carol (Karolina Stefańska), ten chorobliwie ambitny debilek, co z wykładów Johna nic nie rozumie i pracą semestralną zbliżył się do zera absolutnego, lecz mimo to przylazł! Przylazło toto, by trójcyne wyżebrać, gdyż od dziecka marzy o ukończeniu studiów! Co robić?! Wyrzucić? Nie wypada! Przyjąć? Czasu nie ma! Boże, pomóż!... Zaczyna się ping-pong półsłów, sylab, liter, bąknięć, zająknięć. Puchnie seans gaf, nieporozumień, językowych rozminięć. I coś jeszcze: z dna bąkających, zwłaszcza z dna pamięci Johna, wylazi jakaś miękkość, niemoc, lęk, jakiś brak siły do tupnięcia nogą. Wylazi włomność, inaczej zwana delikatnością. John zostaje. Zaprasza do rozmowy. Bełkot się uspokaja. Słysząc pełne zdania. Czuciłość.

Trochę przypomina się Gustaw Flaubert, jego projekt powieści, która trzymałaby się siłą samej melodii języka – nic nie znacząc. I przypomina się Samuel Beckett. „Cóż pan chce – słowa to wszystko, co mamy” – tak mówił. Choćby połamane, porznięte, poszatkowane, martwe – ale są. A jak są, jak słycać bełkot – to znak, że się jeszcze jest tu i teraz. Tak, pierwszy akt jest dobry, ale się kończy. W drugim wchodzi na scenę IDEA, TEZA, POUCZENIE. Zaczyna się nuda oczywistości. Jak na Mameta – nuda potworna. Wchodzi Carol i od pierwszego gestu, pierwszego zdania wiadomo, że przepoczwarzyła się. Z kobiety zrobiła się działaczka – taka to była działaczka. Na domiar złego – o buraczkach zapomnij.

Krańcowo wyżyłowana feministka, z lodowatym

okiem recytująca formułki ze skryptu politycznej poprawności. Mam przyjaciela na Uniwersytecie Jagiellońskim – ciągle opowiada o tych duchowych poczwarach w glanach i portkach z krokiem na wysokości kolan. Bez wytchnienia pyskują o „gender studies”, wzdychają do Jelinek, chcą podnosić ciężary na olimpiadzie w Londynie, nic nie umieją, nic nie czytają, ale codziennie człapią do rektora – one, których by za żadne pieniądze nie tknął nawet kryminalista po 25 latach odosobnienia! – człapią ze skargą, że profesor nie-przyzwoite propozycje seksualne im na zajęciach składał gestem polegającym na dłubaniu palcem w nosie! Przyjaciela mego gnębi dylemat: dlaczego mianowicie żadnej z poczwary jeszcze nie zabił. Podobny dylemat gnębi widzów na drugiej części „Oleanny”.

Raczej Mamet, nie Sadowski, rzecz tak ustawił, że jedyną ciekawostką jest: dlaczego John chce Carol, która na kanwie bełkotu w akcie pierwszym oskarża go o wszelkie mobbingowe świństwa, potraktować krzesłem dopiero w finale. Innych ciekawostek brak. Z dobrej, szybkiej, nieoczywistej gry Stefańskiej i Schimscheinera w akcie pierwszym – zostaje sceniczna pogadanka pogładowa o cwaniaczce, która mężczy niewinnego. Słowem, gdyby John uruchomił krzesło godzinę wcześniej – nie tylko on zaoszczędziłby godzinę.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. David Mamet „Oleanna”. Reżyseria, scenografia, opracowanie muzyczne Andrzej Sadowski.

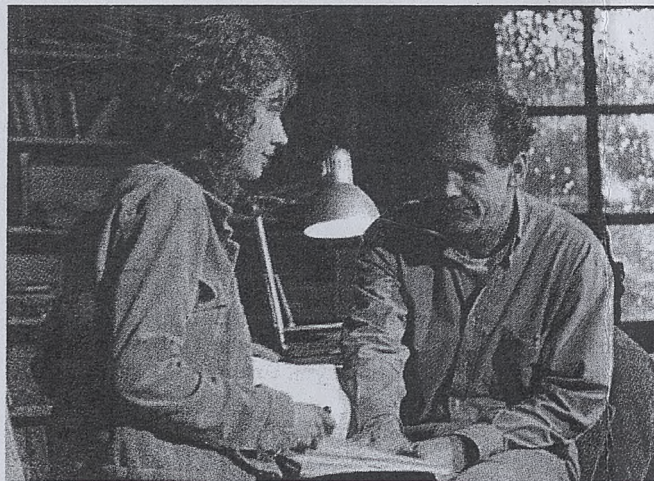
Sceny z życia pozamałżeńskiego

Łukasz Maciejewski

On (Tomasz Schimscheiner) to lekko szowinistyczna ciapa, ona (Karolina Stefańska) jest nierozgarniętą modliszką. W tym układzie zła kobieta przejmuje władzę nad podłym mężczyzną. Ale zwycięstwo jest zwodnicze. Bo ciapulek w pewnym sensie upokarza harpię, odbierając jej kobiecość.

Davidowi Mametowi, jednemu z najciekawszych dramaturgów i reżyserów amerykańskich, w opartej na faktach sztuce napisanej na początku lat 90. ubiegłego wieku, chodziło o wskazanie niebezpieczeństw tak zwanej „poprawności politycznej” wpisującej się z kolei w kontekst kwestii molestowania seksualnego, szeroko komentowanego za prezydentury Billa Clintona.

Pierwsze wystawienia „Oleanny”, m.in. w londyńskim Royal Court, wywołały burzliwą dyskusję. Mametowi, wykorzystującemu banalną w gruncie



Karolina Stefańska i Tomasz Schimscheiner

rzeczy story o naukowcu adorującym nieszczególnie lotną studentkę, która wykorzystując obiektywnie słuszne prawo do integralności własnej płci bezwzględnie mści się na pryncypale, udało się zawrzeć niepokojącą tezę o paradoksalności każdego dogmatu. Carol postępuje w zgodzie z własną logiką,

ale John jest ofiarą. Nie zasłużył na taką zemstę.

Znaczący jest już tytuł sztuki. Nie chodzi o imię bohaterki, tylko o nazwę osady w Pensylwanii, założonej w połowie XIX wieku przez skrzypka, Ole Bulla, emigranta z Norwegii. Oleanna, o której śpiewał u nas niegdyś John Porter, miała być krainą

szczęśliwości. Rajem na ziemi. Nie stała się z nią. Bull musiał wracać do Norwegii. Sielanka nie jest bowiem możliwa. Idylliczne prawo nie istnieje. Również prawo płci.

„Oleanna” wystawiana była w Krakowie już kilka razy. Polska prapremiera sztuki w reżyserii Paula Lamperta odbyła się w 1994 roku w Starym Teatrze (Carol grała wówczas młodzieńca Beata Fudalej), w 2004 roku na scenie „Fundacji Starego Teatru” sztukę wyreżyserował Giovanni Castellanos. Kinomani pamiętają jeszcze być może filmową wersję „Oleanny” wyreżyserowaną w 1994 roku przez samego Mameta.

W przedstawieniu w reżyserii Andrzeja Sadowskiego nie ma politycznego zaangażowania. W ogóle trudno mówić o jakimkolwiek napięciu. Zamiast szyderstwa z poprawności politycznej, oglądamy dosyć siernięźnie zaaranżowane „sceny z życia pozamałżeńskiego”. Tomasz Schimscheiner gra sympatycz-

9
nego faceta tuż przed zasłużonym awansem i zakupem wymarzonego domu.

Niestety, na jego drodze staje rozwydrzona debilka. Studentka z wyzywającą szczerością wyznaje, że nie rozumie niczego z zajęć, profesor docenia jednak jej nogi, co kilka minut dzwoni także jego żona, do której zwraca się per: „kotku”. Jednak Carol tylko pozornie jest typową słodką idiotką. Przypuszczalnie nie wie kto to był Schopenhauer, ale swój rozum ma. Oskarży profesora o molestowanie seksualne, zemści się za jego błyskotliwość. Ale czy zwycięży?

Andrzej Sadowski nie bawi się w subtelności. Sympatia publiczności od początku jest po stronie Johna. Karolina Stefańska nie dostała żadnej szansy na obronę postaci. To tylko przykra kreatura mszcząca się na bogu ducha winnym profesorowi. Idiotka zostanie jednak przykładnie ukarana. Dostanie po dupie i po krzyku. Lekcja tolerancji ma w końcu swoje granice.

243

Kraków
04-05-2011
DZ. / Nr 102

Te straszne baby

•• **Baby, zwłaszcza feministki, są straszne, głupie i szkodliwe. Tylko czyhają na to, żeby miłym facetom zrujnować życie. A już najgorsza jest poprawność polityczna.**

Z takimi wnioskami zostawia nas spektakl Andrzeja Sadowskiego na Scenie pod Ratuszem. Tekst Davida Mameta jest jednak bardziej przewrotny, tyle że ta przewrotność jakoś nie została na scenie wydobyta.

Do gabinetu profesora przychodzi studentka. Profesor jest w przedniu nominacji, która ma mu zapewnić bezterminowy kontrakt. Kupuje właśnie dom, żona co jakiś czas dzwoni w tej sprawie. Telefony od żony i Jerry'ego, zaprzyjaźnionego prawnika, odzywają się oczywiście w najmniej odpowiednich momentach.

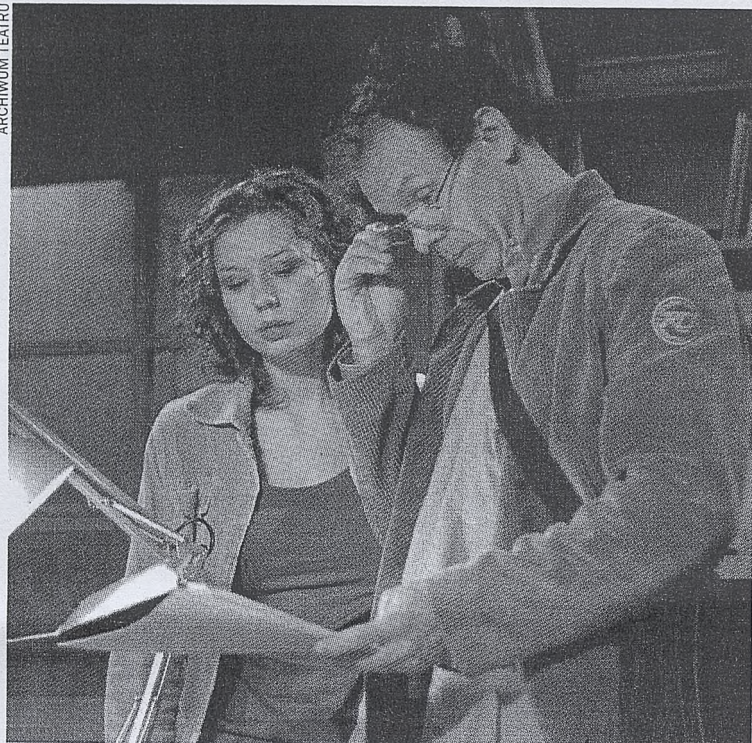
Studentka jest niezbyt zdolna, napisała kiepską pracę, jest zalamana, nic nie rozumie z tego, co wykląda profesor. Ale on stara się ją jakoś pocieszyć, proponuje kolejne spotkania, wypróbować nauczycielskie sposoby oswojenia odpornej i rozszochanej dziewczyny, zwierza się nawet z własnych wątpliwości co do metod i celowości zdobywania wiedzy. I tu popełnia błąd - dziewczyna odczytuje jego zachowanie jako molestowanie, składa skargę do władz uniwersytetu, zyskuje poparcie swojej grupy. I tak profesor, wciąż nęka-

ny telefonami od kupującej dom żony, traci posadę.

Spotkanie rozgrywa się w trzech odsłonach - w drugiej i trzeciej to studentka dominuje. Nie do końca, bo doprowadzony do ostateczności profesor w finale nazywają ją brzydkimi słowami i używa fizycznej przemocy. Możemy odetchnąć z ulgą, feministyczno-poprawnościowy potwór dostał za swoje.

Andrzej Sadowski odczytał sztukę Mameta dość powierzchownie. Nie jest to może arcydzieło, ale Mamet raczej rozdziela mniej więcej równo. Argumenty studentki - czyli jej interpretacja zachowania profesora jako demonstracji władzy, niekoniecznie uzasadnionej wiedzą, czy intelektem - nie są pozbawione sensu. To, że każde zachowanie, zwłaszcza w sytuacji zależności (studentki od profesora), może zostać odczytane na kilka sposobów, też nie jest obserwacją bagatelną. Natomiast reżyser jest wyraźnie po stronie profesora. Miły i skłonny do pomocy facet (a Tomasz Schimscheiner wydobywa ze wszystkich sił sympatyczność swego bohatera) zdobywa od razu widzów w przeciwieństwie do studentki (Karolina Stefańska), która w części pierwszej jest zapłakana, irytującą idiotką, a w kolejnych - triumfującą suką z ustami pełnymi frazesów. To, że dziewczyna ma nieco racji, demaskując strategię profesora wobec studentów jako poniżające (choć on uważa

ARCHIWUM TEATRU



Karolina Stefańska i Tomasz Schimscheiner

się za równego gościa), zostało w spektaklu zatarte.

A jeżeli on jest tylko ofiarą, a ona tylko katem (w dodatku głupim), po co wystawiać tę sztukę? Bo jest - jak mówił Sadowski przed premierą - dobrze napisana? Jest dobrze napisana, owszem, ale na scenie nie wystarczy przerzucać się błyskotliwymi replikami, aby zmu-

sić widzów do myślenia. Myślenia nie o tym tylko, że baby są straszne i służnie należy się im łomot. ●

JOANNA TARGOŃ

Teatr Ludowy. David Mamet „Oleanna”. Reżyseria, scenografia, opracowanie muzyczne - Andrzej Sadowski. Premiera 29 kwietnia